965

# PERZANOWSKA

WŁADYSŁAW ŻESŁAWSKI

PRZYCHODZIŁA na nagranie zawsze pierwsza, dokładnie dwadzieścia minut przed wejściem do studia. Przez pierwsze trzy tygodnie rzucała w wejściu sprawdzającym listę strażnikom swoje nazwisko — Perzanowska, potem już ją znali, więc zrywali się na jej widok salutując. „Proszę tego nie robić!" — broniła się. Na chwilę zatrzymywała się przed kioskiem Ruchu, w którym kupowała gazety i jakieś drobnostki dla realizatorek czy sekretarki redakcji. I tak się to odbywało przez 24 lata. W każdy piątek, bo w piątki nagrywa się „Matysiaków". W ostatnim roku już nie przychodziła na Myśliwiecką, była chora i tylko kiedy lepiej się czuła, realizatorzy jechali do mieszkania, gdzie nagrywali jej kwestie.

Była zawsze doskonale przygotowana do nagrania. Swoje kwestie wyraźnie podkreślała na tekście. Znała doskonale gwarę starych mieszkańców Powiśla, więc nieraz proponowała drobne zmiany w wypowiedziach swoich, Matysiaka czy Wojtka Grzelaka. Nie robiła jednak nigdy sama tych poprawek. „Zawsze szanowałam i szanuję autora".

Na załatwienie tych drobnych spraw, na naniesienie ewentualnych poprawek były jej potrzebne te dwadzieścia minut. Punktualnie o 15 była gotowa do nagrania.

Pamiętam pierwsze nagranie pierwszego odcinka tej najdłuższej jak dotąd w Polskim Radio opowieści o rodzinie z ulicy Dobrej na Powiślu, której daliśmy nazwisko — Matysiakowie. Było to 14 grudnia 1956 roku. Obserwowałem wówczas Stanisławę Perzanowską z reżyserki. Miała wypowiedzieć pierwszą kwestię Heleny Matysiakowej. Prostej — jak zwykło się mówić — kobiety, która nie kończyła szkół, nie uczyła się mądrości z książek, ale miała ją w sobie, nauczyło ją niełatwe życie. Miała w nim tylko dwa cele: wychować dzieci na porządnych ludzi i ochronić dom przed największym jej zdaniem niebezpieczeństwem jakie niosły nowe powojenne czasy — przed rozbiciem. Chciała mieć swoich bliskich przy sobie, chciała ich osłaniać, gdyby im coś złego groziło. Taką postać mieliśmy w zamyśle, teraz zależało od Stanisławy Perzanowskiej czy słuchacze uwierzą w Helenę Matysiakową, czy będzie prawdziwą od pierwszego odcinka powieści. Wytrawni, wybitni aktorzy, bo Jan Ciecierski (Józef Matysiak), Tadeusz Fijewski (Wojtek Grzelak), Tadeusz Janczar (Stach Matysiak) i inni, którzy brali udział w tym pierwszym nagraniu mieli wyraźną tremę. Czekali na znak reżysera, Zdzisława Nardellego, i na tę pierwszą jej kwestię. Widziałem jej skupioną, zdawać by się mogło, że w tym momencie surową twarz. I powiedziała te pierwsze słowa. Odniosłem wrażenie, że jednak jakby nie swoim głosem, jakby nagle lekko przychrypniętym, takim, jakim mówią miliony kobiet. Tych z obolałymi rękoma i nogami, tych zabieganych za tysiącem z pozoru nieważnych spraw, tych, które wstają o świcie, żeby przygotować mężowi śniadanie przed jego wyjściem do pracy, a potem dzieciom do szkoły. Tych ślepiących oczy, żeby wycerować koszulę czy skarpetki, bo nie było czy nie ma na nowe. Ale i tych, w oczach których jest jakiś ciepły uśmiech i zadowolenie, że w ich domach jest wszystko w porządku. Że jest czysto, ciepło, że chce się do takiego domu każdemu wejść, posiedzieć, porozmawiać, ogrzać przy tym cieple. Słuchacz nie widział Matysiaków, wyobrażał sobie jedynie to skromne mieszkanie i jego gospodynię. W sztuce tworzenia tej wyobraźni aktor ma w radio do dyspozycji tylko głos. Może go rozjaśnić, zawiesić, rozpogodzić. I tę sztukę Stanisława Perzanowska miała opanowaną do perfekcji, stąd w kwestiach Heleny Matysiakowej, które wypowiedziała, było to ciepło, było to coś, co — jak zwykło się mówić — chwyciło za serce słuchacza, była po prostu prawda. A po niej w głosach pozostałych aktorów.

A potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy z „Matysiakami". Dziesiątki dziennie listów (1,5 miliona przez 25 lat) adresowane: „Helena i Józef Matysiakowie, Warszawa ulica Dobra". Wynikało z nich, że olbrzymia liczba słuchaczy jest przekonana, że Matysiakowie to autentyczna rodzina, do mieszkania której technicy PR w każdą sobotę wstawiają tylko o określonej godzinie mikrofony, i że wszystko co się w nim dzieje jest prawdą.

Któregoś razu pozwoliliśmy sobie w stosunku do tych słuchaczy na niewinny żart. Rozpoczęliśmy audycję rozmową owych techników, którzy właśnie przyjechali do mieszkania Matysiaków zainstalować magnetofony, zastali jednak drzwi zamknięte. Zaskoczeni zawiadomili radiotelefonem samego prezesa Radiokomitetu, Włodzimierza Sokorskiego, pytając co w tej sytuacji mają robić. Prezes polecił odszukać za wszelką cenę bohaterów z ulicy Dobrej. Całe zamieszanie trwało dokładnie piętnaście minut, wreszcie słuchacze usłyszeli na schodach głos Heleny Matysiakowej: „Boże jedyny! Józuś, przecież to dzisiaj sobota i panowie przyjechali, a myśmy się spóźnili przez ten przyjazd Bronka!" Tę kilkunastominutową nieobecność naszych bohaterów wytłumaczyliśmy powrotem Bronka Grzelaka (Józef Nowak) po jego kilku latach pobytu za granicą, pojechali więc wszyscy witać go na Dworzec Wschodni. Dalszy ciąg audycji potoczył się już normalnym torem. Ale oto po kilku dniach zaskoczył nas list jednego ze słuchaczy piszącego, że sprawdził w rozkładzie jazdy czy o tej porze istotnie przychodzi pociąg z Gdyni, jak również czy jazda taksówką z Dworca Wschodniego na ulicę Dobrą trwa tak długo, jak długo nie było Matysiaków w mieszkaniu.

Ubawiliśmy się tym listem, ale mieliśmy przy tym i szczęście, ponieważ rzeczywiście pociąg z Gdyni przychodził kilkanaście minut przed rozpoczęciem audycji, a i jazda z Dworca na Dobrą nie trwa dłużej. Bardzo była rozbawiona tym listem Stanisława Perzanowska. Sama jako Helena Matysiakowa otrzymywała ich tysiące. Czytała je wszystkie bardzo uważnie jakby czytała kwestie swojej roli. Wielu piszących zwracało się do niej: Mamo. „Co też oni wymyślili sobie z tą matką! — zwykła mówić. Przecież powinni wiedzieć, że to grają aktorzy". Były to jednak chyba retoryczne pytania, ponieważ wiedziała na pewno, że prawda brzmiąca w jej jak i kolegów głosie tkwiła w tym zjawisku.

Nieraz jednak zżymała się na swoich antenowych przyjaciół. Było to wtedy, kiedy poznawali ją po głosie na ulicy czy w sklepie. Kłaniali się jej, zagadywali o synów, o córkę, o przyjaciół. Mówiła wtedy: „Proszę państwa, ja nie jestem Heleną Matysiakową, jestem Stanisława Perzanowska, a Matysiakową gram tylko w Radio". Myślę, że jej gniew był prawdziwy. Była przecież jedną z najwybitniejszych aktorek polskich, była wybitnym reżyserem, była doskonałym pedagogiem w Wyższej Szkole Teatralnej. A tu nagle rola Matysiakowej jakby przekreśliła tamto, jakby wymazała jej wspaniałe role w sztukach Moliera, Fredry, Czechowa, Ibsena. Jakby zapomniano o jej współpracy ze Stefanem Jaraczem. Jakby nie wiedziano, że nauczyła sztuki aktorskiej dziesiątki młodych.

Niepotrzebnie się jednak gniewała. Pozdrawiający ją wiedzieli o tym, oglądali ją niejednokrotnie na scenie, do teatru jednak nie chodzi się przecież co tydzień, a w opowieści z ulicy Dobrej słyszeli ją w każdą sobotę, widzieli ją w swojej wyobraźni jako jedną z nich, niosła dalej swą sztuką, swoim talentem do milionów słuchaczy trochę prawdy o naszym życiu. Że nie jest łatwe, że pełne trosk i kłopotów, ale że jest w nim i miejsce na radość, na uśmiech. Mówiła, że ludzie w gruncie rzeczy są dobrzy, trzeba tylko tę dobroć umieć dostrzec, że najważniejsze jest jednak to, żeby mieć dla ludzi przyjaźń, żeby mieć dla nich otwarte serce.

Tego uczyła miliony słuchaczy Stanisława Perzanowska jako Helena Matysiakowa. A jak pojętnych i spragnionych owej nauki przekonała się w 1964 roku, kiedy została zaproszona przez załogę Stoczni Gdyńskiej na matkę chrzestną statku „Goplana". Jechała z oporami. Nie lubiła tego rodzaju spraw, ale to co ją spotkało przeszło jej najśmielsze wyobrażenia. Otóż po uroczystości chrzcin przyjęła jedyną w swoim rodzaju defiladę: przed Stanisławą Perzanowską a właściwie przed Heleną Matysiakową przemaszerowała cała załoga stoczni, kilka tysięcy ludzi, a każdy niósł dla niej to kwiatek, to jakiś upominek, to tabliczkę czekolady. Opowiadała o tym po swoim powrocie, żartowała, że przywiozła od gdyńskich tyle kwiatów, że ledwo pomieściły się w przedziale. Że dopiero tam zrozumiała, że rola Matysiakowej jest niczym innym jak dalszym ciągiem jej artystycznej działalności. Wtedy też powiedziała do zespołu: „Wiecie, jeżeli już tak jest, to chciałabym zostać do końca życia tą Matysiakową".

I została. Bo jeszcze, bardzo już chora, w odcinku bożonarodzeniowym w grudniu ubiegłego roku słuchacze usłyszeli jej głos. Głos wielkiej aktorki, która przez prawie ćwierć wieku miała właściwie dwa nazwiska. To swoje — Stanisława Perzanowska i to drugie — symbol wszystkich matek — Helena Matysiakowa.